CENA 50 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI

·TYGODNIK·ILUSTROWANY·

ROK IV. WARSZAWA, 3 MARCA 1935. Nr. 9 (96).

Stanisław Łoś

Uwagi programowe[1)]

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Był Pan łaskaw zapytać jak się zapatruję na wzmożone zainteresowanie Obozu Narodowego sprawą ukraińską na terenie województw południowo-wschodnich, oraz na różnicę zdań między starszem a młodszem pokoleniem tego obozu.

Myślę, że zainteresowanie się obozu Narodowego tak poważnem zagadnieniem, jako też dyskusja wewnętrzna — niepozbawiona chwilami momentów patetycznych — może być uważana za zjawisko dodatnie. Dowodzi ona, że poważny i liczebnie i znaczeniem odłam polskiej myśli politycznej zaczyna odczuwać, że w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich zachodzi potrzeba jakgdyby nowej orjentacji.

Stronnictwo narodowe przegrało walkę o władzę w odrodzonem Państwie Polskiem, przegrało jednakowoż raczej możność obsadzania stanowisk państwowych ludźmi swego obozu niż możność praktycznego wpływania na działalność aparatu państwowego, a już niewątpliwie zachowało daleko idące wpływy na kształtowanie się opinji bardzo poważnych odłamów społeczeństwa. Jeżeli chodzi o dziedzinę polityki narodowej, polityki zwłaszcza codziennej, małej może, ale niezmiernie doniosłej w skutkach, bo rozstrzygającej o nastrojach i stwarzającej atmosferę, to należy stwierdzić, że wpływy stronnictwa narodowego są bardzo poważne, chwilami wprost kierownicze. Ideologja narodowo-demokratyczna panuje na dużych połaciach naszych ziem wschodnich, zwłaszcza b. zaboru austrjackiego, panuje nietylko w umysłach miejscowej społeczności polskiej (i ukraińskiej), lecz także miarodajną jest dla nastrojów warstwy urzędniczej, zwłaszcza jej sfer niższych, a więc praktycznie biorąc najważniejszych, bo w stałym kontakcie z ludnością pozostających.

Nastroje niższej biurokracji — zmienią się znacznie szybciej i pewniej w miarę ewolucji polskiej myśli nacjonalistycznej, niż naskutek najenergiczniejszych nawet nakazów zgóry. Te mają wpływ mechaniczny, zewnętrzny, tamte wywołują działalność spontaniczną, organiczną, sharmonizowaną wewnętrznie.

O ile chodzi o b. zabór austrjacki, obóz narodowy (dawniej narodowo-demokratyczny) może na swoje dobro zapisać jedną bardzo wielką zasługę. Budząc czyjność polskiego społeczeństwa i organizując je pod hasłem walki z ruchem ukraińskiem nie dopuścił do podziału b. Galicji na dwa odrębne kraje koronne z których wschodni miałby już zupełnie oficjalną markę kraju niepolskiego.

W ten sposób cała dzielnica dawnej Rzeczypospolitej, która na kongresie wiedeńskiem została raz jeszcze uznana za część Polski, doczekała się w całości jako nienaruszony depozyt chwili upadku monarchji habsburskiej i zmartwychwstania Rzeczypospolitej.

Nie ulega też wątpliwości, że — jeżeli nie wręcz rozpętana przez Narodową Demokrację, — to w każdym razie gorliwie przez nią prowadzona i rozdmuchiwana walka z ruchem narodowym ukraińskim, wytworzyła w społeczeństwie polskiem pewien zapas niechęci do Ukraińców, który był jednym z najważniejszych czynników tego spontanicznego i bezkompromsowego odporu jakim społeczeństwo polskie odpowiedziało na ukraińską próbę oderwania drogą faktu dokonanego Rusi Czerwonej od Rzeczypospolitej.

---

1) *Redakcja „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego zwróciła się do znanego pisarza politycznego Stanisława hr. Łosia z uprzejmą prośbą o skreślenie swych uwag na tematy polsko-ukraińskie w związku z akcją prasową obozu narodowego w Polsce, ostatniemi czasy poświęcającego dużo uwagi zagadnieniom wschodnio-kresowym Rzplitej. W odpowiedzi otrzymaliśmy poniższe obszerne rozważania z wielką erudycją i jasnością wykazujące m. i. bezpodstawność tezy asymilacyjnej, będącej kamieniem węgielnym teoretycznego programu obozu narodowego w kwestji ukraińskiej.*

Redakcja nie podziela szeroko omówionego przez Szanownego Autora jego podejścia do treści pojęcia narodu. W tym względzie, zdaniem naszem, jeszcze przez czas długi dziejów najbliższych w świecie współczesnym, a zwłaszcza w Europie Wschodniej, rządzić będą prawa nacjocentryzmu, z taką erudycją i w tak szerokiej perspektywie skreślone przez Doc. Dr. H. O. Boczkowskiego w numerach bieżącym i poprzednim „BPU".

Z tem zastrzeżeniem czytelnikom naszym przedkładamy niniejsze, pełne głębokich i trafnych ujęć, uwagi autora znakomitej książki „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej".

Nie chcę tu dyskutować po akademicku nad pytaniem, czy nie byłoby dla Polski jeszcze lepiej, gdyby było wogóle nie doszło do walki polsko-ukraińskiej na terenie Rusi Czerwonej, walki ideowej zrazu, a potem krwawej rozprawy orężnej. Na temat coby było, gdyby było inaczej — można popisać całe tomy, a kto ma dużo wolnego czasu może te tomy czytać i komentować. Skoro jednak dzieje potoczyły się tak jak się potoczyły, skoro do walki przyszło i walkę trzeba było wygrać, sądzę, że nacisk jaki w krytycznym czasie narodowa demokracja potrafiła wywrzeć na niezupełnie jasno orjentującą się opinją narodu, był jednym choć nie jedynym z czynników, które rozstrzygnęły o polskiem zwycięstwie ostatecznem i całkowitem. S u u m c u i q u e...

Powstanie Państwa polskiego, powstanie jego w jego obecnych granicach, bezwarunkowe wcielenie Rusi Czerwonej i wcielenie Wołynia, utopienie wreszcie większości ziem ukraińskich w czerwonem morzu sowieckiem, stworzyło w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich sytuację tak odmienną od poprzedniej, że żadna z dawnych, przedniepodległościowych haseł, żaden z dawnych celów nie powinny się ostać, że stają się balastem szkodliwym, jeżeli nadmiernie zrosły się z myślą i podświadomością i nie chcą ustąpić wobec wymagań sytuacji istniejącej i trwałej. Bo istnienie Rzeczypospolitej jest zjawiskiem trwałem.

Nie lubię i nie umiem polemizować, pożyteczniej będzie może — teraz gdy w toku jest proces przeorjentowywania się wśród bardzo poważnego odłamu naszego społeczeństwa postawić raczej kilka pytań, które dla naszego zagadnienia uważamy za istotne i spróbować dać na nie pozytywną, konstruktywną odpowiedź. Przedewszystkiem tedy należałoby się bardzo poważnie zastanowić, czy obecne pojęcie narodu, pojęcie które nam (a i Ukraińcom) przekazał wiek XIX-y, odpowiada interesom Rzplitej.

Narody istniały już od zarania historji, jednakowoż utożsamienie pojęcia „naród" i pojęcie „grupa językowa", jest wymysłem XIX-go wieku, wymysłem dokonanym przez Włochów i Niemców w tym celu by dać ideowy podkład zjednoczonym lub mającym się zjednoczyć państwom włoskiemu i niemieckiemu.

Powiedziano gdzieś, że człowiek stwarza sobie bogów na obraz i podobieństwo swoje, można wątpić w prawdziwość tego powiedzenia; nie można natomiast wątpić w to, że polityczne hasła (które przeszedłszy w podświadomość mas, stają się na jakiś czas ideałem, świętem przekonaniem lub nieprzedawnionem prawem), tworzone są na usługi praktycznej polityki. Potem dopiero wyrastają czasem ponad głowy swym twórcom, albo przeszczepione na inny grunt poczynają rodzić najdziwniejsze owoce, coś w rodzaju gruszek na wierzbie.

Tak było i z pojęciem narodu, w jego obecnej filologicznej formie.

Przyszedł czas, gdy historyczne narody włoskiej i niemieckiej mowy okazały się zbyt słabe każdy zosobna by módz stawić czoła potężniejszym sąsiadom i by módz należycie rozwinąć się gospodarczo. Wiek XIX-y zapoczątkował erę wielkich armij i wielkich rynków. Trzeba tedy było zespolić narody neapolitański, rzymski i piemoncki, czy też stare bawarski i saski i bardzo niedawny pruski w jedną całość, aby tej całości nadać charakter organiczny, by nie była ona tylko zlepkiem mechanicznym, a więc kruchym. Trzeba było skitować je jakimś wspólnym ideałem. Kitem takim stał się wspólny język; historycznym narodom, mówiącym po włosku lub niemiecku, wytłumaczono (nie bez trudu), że wcale narodami nie są, że są tylko plemionami w łonie wspólnego, ponadplemiennego narodu. Pojęcie narodu oparto na kryterjach filologicznych, tak stworzono ideał cementujący ludy włoskiej i niemieckiej mowy, a reszty dokonała zręczność dynastji pruskiej i sabaudzkiej... no i błędy Napoleona III-go.

Po upływie dwuch czy trzech pokoleń, pod działaniem odpowiednio nastrojowej szkoły, ludzie włoskiej czy niemieckiej mowy przysięgają teraz, że „naród" ich był od początku świata jednolity, tylko przez dziwną złośliwość losu przez jakie tysiąc lat podzielony na różne „państwa".

W roku 1922 wzbudził już tylko wesołość stary pułkownik, który królowi Wiktorowi Emanuelowi III powiedział z dumą, że w jego pułku niema ani jednego Włocha, tylko sami Piemontczycy.

Nacjonalizm filologiczny był dobrodziejstwem na półwyspie apenińskiem i pomiędzy Renem a Odrą, gdyż umożliwił organiczne utworzenie się większych społeczności ludzkich, dał im szersze horyzonty i płynącą z poczucia wspólności siłę. Ten sam jednak nacjonalizm filologiczny, który we Włoszech i Niemczech był kitem i łącznikiem, stał się czynnikiem rozkładu wszędzie tam, gdzie podłoże było zgoła odmienne t. j. tam, gdzie nie było dużej ilości karłowatych państewek, zamieszkałych przez ludy o wspólnej przynajmniej bardzo podobnej mowie, a przeciwnie, gdzie istniały duże, potężne przez historję zbudowane twory państwowe, zamieszkałe jednak przez ludy mówiące różnemi językami a przynajmniej narzeczami.

Nacjonalizm filologiczny gdyby się był przyjął we Francji byłby ją może rozbił na jakieś państewka bretońskie, auwerniackie i prowansalskie, przyjąwszy się w Belgji przysparza temu państwu wcale poważnych kłopotów, przyjąwszy się w Austrji i na Węgrzech rozsadził odwieczną monarchję Habsburgów, przyjąwszy się w Polsce, a raczej przejęty w spadku po epoce rozbiorów, prawem bezwładności w odrodzonem Państwie narobił nam już sporo ambarasu.

Tam gdzie jest wiele państw a jeden język — wspólny język jest łącznikiem, tak gdzie jest jedno państwo a wiele języków — język staje się czynnikiem rozkładu.

Dlatego też w takich państwach język nie może być uważany za kit spajający społeczeństwo, dlatego w takich państwach racja stanu nakazuje szukać innych łączników i innych wspólnych, lub mogących się stać wspólnymi, ideałów.

A jeżeli trudnoby było może rozdzielić dziś pojęcia „naród" i „grupa językowa", bo ludzie zanadto się przyzwyczaili je utożsamiać, to trzeba szukać innych ponadnarodowych pojęć obejmujących więcej niż grupy językowe, trzeba szukać kitu i łącznika we wspólnocie krwi, rasy, historji, cywilizacji, we wspólnocie terytorjalnej i dróg rozwojowych.

Stara historyczna Rzeczpospolita była zawsze państwem wielonarodowem i wielojęzycznem, więcej nawet — w tem państwie „polskiem" przez długie lata język polski nie był językiem oficjalnym bo w Koronie oficjalnym językiem był dla szlachty łaciński, a dla mieszczan niemiecki, a na „Litwie" (sięgającej niemal po Morze Czarne) językami oficjalnemi były różne narzecza ruskie.

Zagadnienie, które my w Polsce mamy do rozwiązania jest zgoła odmienne od zagadnienia, nad którem głowiły się Niemcy przedbismarkowskie. Tam chodziło o zorganizowanie pokojowego i solidarnego współżycia różnych państw w obrębie jednolitej grupy językowej, u nas o zorganizowanie takiegoż współżycia różnolitych grup językowych w obrębie jednolitego państwa.

Zapożyczony z Niemiec nacjonalizm filologiczny, choćby nawet trochę zmodernizowany przez różne hitlerowskie antysemickie i antropologiczne dodatki, przypomina u nas trochę ów wiktorjański cylinder, noszony jeszcze czasem przez bosych potentatów Afryki Centralnej.

Mamy zresztą w świeżej pamięci odstraszający przykład, do jak zgubnych następstw prowadzi bezkrytyczne przyjmowanie obcych, niedostosowanych do naszych warunków haseł i pojęć: Ukraińcy haliccy wzięli bardzo naserjo i pojęcie na-

rodu jako grupy językowej i hasło samostanowienia narodów, t. j. hasło wymyślone przez propagandę anglosaską (i trochę sowiecką) dla rozsadzenia od wewnątrz państw centralnych. Wynikiem tego było, że w zwrotnej godzinie dziejów, gdy losy Europy Środkowej i Wschodniej rozstrzygały się może na całe pokolenia, zamiast tworzyć żywą historję, usiłowali wtłoczyć życie w prokustowe łoże recepty: gdy bolszewicy likwidowali nad Dnieprem zaczątki państwowości ukraińskiej, nasi haliccy nacjonaliści zajęci byli strzelaniem do Lwowa...

Tyle o filologicznym nacjonaliźmie.

Teraz parę słów o asymilacji:

Już w pracy mojej p. t. „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej" (Warszawa 1931) udowodniłem, że asymilacja nie jest to świadoma i planowa czynność asymilującego, coś w rodzaju jedzenia, lecz wręcz przeciwnie — nieświadomy proces, który przechodzi asymilowany. Dlatego to — choć historja zna niezliczoną ilość przykładów asymilacji dokonanej i trwałej, — polityka dążąca do asymilowania obcego elementu jest prawie zawsze skazana na niepowodzenie, a polityka, która hasło asymilacji głosi jawnie i krzykliwie, nigdy powodzenia nie osiągnie, przeciwnie — musi osiągnąć wyniki wręcz przeciwne zamierzonym, t. j. przerwać rozpoczęte już nieświadome precesy asymilacyjne i wywołać czujność i opór u mającego być zasymilowanym.

Nie można przyjść do obcego narodu z wierszem Krasińskiego na ustach: „Lud wasz się dostał naszemu ludowi, na krew i pokarm" i nie wywołać sprzeciwu. Zjedzonym nikt nie chce być. Zdaje się, że to jest tak jasne, że nie potrzeba tego udowadniać; a polityka któraby się nie liczyła z najprostszemi prawidłami psychologji, nie może dać wyników. Pewna doza chłopskiego rozumu potrzebna jest i przy rozwiązywaniu najbardziej zawikłanych zagadnień.

Pozatem pragnąłbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną stronę zagadnienia asymilacji. Przypuśćmy, że program asymilacji jest wykonalny, pozostaje jeszcze do rozwiązania pytanie w jakim czasie? Boć przecież proces asymilacji jest procesem przewlekłym, nie dokona się on ani w jednym roku, ani w lat dziesięć.

Asymilatorzy też liczą się z przewlekłością tego procesu i rozkładają go na długi okres czasu na dwa do trzech pokoleń, czyli na sześćdziesiąt do stu lat. Przypuśćmy, żeby taki okres wystarczył, powstaje pytanie, czy warto sobie zadawać trud bardzo poważny dla uszczęśliwienia naszych wnuków i prawnuków. Nie dobrze jest zapewne robić politykę na zbyt krótką metę, ale prowadzenie polityki, która dopiero w astronomicznych odstępach czasu może przynieść owoce, też nie jest polecenia godne.

Jeżeli Państwo Polskie może sześćdziesiąt do stu lat przetrwać bez zasymilowania Ukraińców, to niema naprawdę powodu dla których bez takiej asymilacji nie mogłoby przetrwać jeszcze drugich sześćdziesięciu i drugich stu lat. A jeżeli tak jest, po co właściwie asymilować?

Podstawą wszelkiej polityki narodowościowej jest wiara w trwałość Państwa, bez niej polityka narodowościowa jest nie do pomyślenia ani u narodu liczniejszego, kierowniczego, ani u narodu mniej licznego.

Prowizorja mogą w praktyce trwać bardzo długo, ale mają tę złą stronę, że odbierają ludziom chęć do urządzenia się na stałe. Chęć taka rodzi się dopiero w miarę przeświadczenia o trwałości stosunków.

Że uwierzyć w trwałość Państwa Polskiego przyszło dość łatwo Polakom, to jest zrozumiałe, ale i to wymagało kilku lat czasu; znacznie powolniej zakorzeniała się ta wiara u narodów postronnych, najpierw u przyjaciół, potem u obojętnych, w Niemczech trzeba było aż kanclerza Hitlera, by utrwaliło się przekonanie, że z Państwem Polskiem trzeba się dogadać, jeżeli nie na zawsze to w każdym razie na długo.

U Ukraińców zakorzenienie się przeświadczenia o trwałości Państwa Polskiego idzie bardzo opornie: 1) bo przeświadczenie to jest im niemiłe a nikt nie chce wierzyć w niemiłe prawdy, 2) bo u politycznie miarodajnego odłamu narodu ukraińskiego, t. j. u Ukraińców halickich, uczuciem górującem nad wszystkiemi jest nienawiść do Polski, woleli przecież strzelać do Lwowa, niż bronić Kijowa przed bolszewikami, 3) bo jest to naród niezmiernie wrażliwy i nerwowy a z bardzo słabo rozwiniętym zmysłem rzeczywiści tak, że każda propaganda, każda mglista pogłoska, każda bajeczka wręcz byle miała zabarwienie antypolskie będzie natychmiast przyjęta jak Ewangelja i zaćmi najbardziej nawet namacalne doświadczenia.

Przeświadczenie jednak o trwałości Państwa Polskiego — choć opornie — idzie coraz bardziej wgłąb ukraińskiej podświadomości. Upływ czasu robi swoje, wymowa faktów robi swoje, na zakończenie się tego procesu nie trzeba będzie czekać dziesiątków lat. Jeszcze nasze pokolenie będzie miało doczynienia ze zgoła od dzisiejszej odmienną psychiką ukraińską.

Przeświadczenie o trwałości Państwa musi zrodzić chęć do urządzenia się w niem na trwałe, a doświadczenie, że walka z Państwem same tylko klęski na Ukraińców sprowadza każe tej walki zaniechać.

Rewizja obecnego stosunku Ukraińców do Państwa sprowadzi wśród Ukraińców odmienne — zgodniejsze z rzeczywistością niż obecnie — pojęcie narodowego interesu. Rewizja taka będzie jednak wynikiem procesu myślowego, który się dokona wewnątrz ukraińskiej społeczności, nigdy zaś nie może się dokonać pod wpływem polskiego nacisku. Nie można za kogoś myśleć, tak jak nie można za kogoś jeść, można co najwyżej dać komuś w sposób mądry i z prawidłami psychologji zgodny, podnietę do myślenia.

Ale taką podnietą nie może być wywieszenie tablicy z wymalowanem czerwonemi literami hasłem asymilacji.

Walki z Państwem zaprzestaną Ukraińcy nie wtedy jak im się będzie ona przedstawiać jako konieczna, narzucona, rozpaczliwa choć nieskuteczna i niedołężna obrona przed asymilacją, lecz wtedy gdy zrozumieją, że jest ona zbrodnią przeciw ukraińskiemu narodowi. Gdy zrozumieją, że walka taka to powtarzanie na codziennie, na detalicznie i na szaro tego, co już raz w przełomowej godzinie dziejów zrobili hurtownie i krwawo strzelając do Lwowa, gdy bolszewicy szli na Kijów, gdy zrozumieją, że póki trwa obecny układ stosunków w Europie Środkowej i Wschodniej jedynie w ramach Rzeczypospolitej mają widoki narodowego rozwoju, ale realizację tych możliwości muszą okupić jasną, niedwuznaczną wobec Państwa postawą.

Polityka asymilacyjna — o ile chodzi o żywioły ruskie w naszych granicach żyjące — ma jeszcze jeden, podstawowy błąd, który każe wątpić o jej pożyteczności.

Wychodzi mianowicie z fałszywego założenia:

Założeniem wszelkiej polityki asymilacyjnej jest uznanie istnienia jakiegoś żywiołu obcego, który w wyniku polityki asymilacyjnej ma być pozbawiony swej indywidualności, względnie — jeżeli chodzi o wyobrażenia nacjonalistów filologicznych — ma zacząć posługiwać się innym językiem.

Nie chcę obciążać moich wywodów uwagą zrobioną dawno przede mną przez pp. H. Chamberlaina i Hitlera, że i wtedy nawet nie mielibyśmy Polaków lecz tylko mówiących po polsku Rusinów, twierdzę tylko że w danym polsko-ukraińskim wypadku sam punkt wyjścia jest fałszywy.

Żywiołem obcym jest: 1) albo żywioł zamieszkujący historyczne terytorjum innego narodu, t. j. żywioł napływowy jak np. Chińczycy w Kalifornji a u nas część Niemców i Ży-

dzi albo 2) żywioł wprawdzie autochtonny na terytorjum jakie zamieszkuje, ale włączony w granice państwa, do którego historycznie nie należy, t. j. do państwa, które w stosunku do tego żywiołu jest państwem obcem.

W naszym wypadku nic podobnego nie zachodzi; Ukraińcy nasi nie są ani żywiołem napływowym, rozproszonym na terytorjum polskiego zasiedlenia, ani też nie zostali włączeni w granice państwa, do którego historycznie nie należą. Przeciwnie, państwo to zostało w ciągu dziejów zbudowane łącznym wysiłkiem historycznych warstw ruskich i polskich. Warstwy te zbudowały zupełnie świadomie państwo wielonarodowe i wielojęzyczne dlatego, że w tej części Europy państwo takie było dziejową koniecznością, na żadne inne niema warunków i żadne inne się nie ostanie.

Ukraińcy czy Rusini żyjący w naszych granicach nie żyją w państwie obcem, lecz w państwie własnem a nikogo się chyba do własnego państwa nie asymiluje.

Nie czują się w tem państwie dobrze bo: 1) zarażenie się przez ludy Europy Centralnej doktryną filologicznego nacjonalizmu sprawia, że państwo jest uważane za własność liczniejszej grupy językowej; 2) bo są w niem niedostatecznie liczebnie, gospodarczo i kulturalnie silni, by módz wpływy liczniejszej grupy językowej zrównoważyć; 3) bo ich dojrzałość polityczna nie posunęła się jeszcze na tyle, by im umożliwić rozsądny kompromis z liczniejszą grupą językową.

Nie mniej przeto prawdą jest, że w obecnej sytuacji europejskiej przed Ukraińcami stoją tylko dwie alternatywy, t. j. albo Sowiety, albo Rzeczpospolita. Alternatywy pierwszej dzisiaj już stanowczo nie chcą, nie zdobyli się jeszcze na cywilną odwagę by zatrzymać się wyraźnie przy drugiej. Kołyszą się jeszcze marzeniami, że wyłoni się jeszcze alternatywa trzecia, ale marzenia te rozproszyć może tylko upływ czasu, nie zaś żadna polska polityka, zwłaszcza taka, którąby im codziennie przypominała, że są w państwie elementem obcym.

Musimy się jeszcze rozprawić z jednem hasłem bardzo popularnem, to jest, że „my" (Rząd lub społeczeństwo polskie) musimy trafić do mas ruskich z pominięciem ruskiej inteligencji. Rozumiem, że hasło to jest szczególniej ponętne dla generacji współczesnej nam, energicznej, która dała dowody wielkich uzdolnień realizatorskich. Rozumiem też, że nikt nie ma zbytniej ochoty czekać, aż otrzeźwieją przewodnie koła ukraińskie, które w tak niedawnej przeszłości dały tyle dowodów, że nie orjentują się w najpodstawowszych nawet postulatach własnej racji stanu, które nie umiały wykorzystać żadnej sposobności i zmarnowały wszystko, czego tylko się tknęły. Słyszałem nieraz i to od bardzo poważnych znawców zagadnienia, że na takie otrzeźwienie czekać chyba będziemy „ruski miesiąc", t. j. jakiś okres czasu bardzo nieokreślony i bardzo długi.

Nie mniej przeto myślę że lepiej jest czekać — oczywiście nie bezczynnie — aż dojrzeją i dadzą wyniki pewne procesy, które się w ostatnich latach w społeczności ukraińskiej zaczęły. Nie widzę co możemy stracić na czekaniu, bo dzięki Bogu Rzeczpospolita nie jest efemerydą, która zginie jeżeli nie zdoła natychmiast się uporać z nastrojami pewnej garstki bardzo nieszczęśliwych polityków, nie widzę też co możemy zyskać na trafieniu bezpośredniem do mas.

Pytanie pierwsze do jakich mas mamy trafić? Do uświadomionych, czy do nieuświadomionych? Trafić do tych drugich jest bardzo łatwo, tylko żadnej korzyści nie przynosi. Rządy austrjacki i rosyjski trafiały bardzo długo, całe dziesiątki lat do nieuświadomionych mas polskich, ale polityczny efekt tej pełnej sukcesów metody był równy zeru i nie mogło być inaczej. Z masy nieuświadomionej może być pożytek tylko bardzo doryweczy, gdy się ją doraźnie sprowokuje do zrobienia jakiegoś głupstwa, ale niczego trwałego nie można przecież na nieuświadomieniu budować. Masy nieuświadomione mogą każdemu ruchowi ideowemu być tylko czasowym balastem, lub czasową dywersją, ale nigdy przy ich pomocy się tego ruchu nie zlikwiduje. Mas nieuświadomionych jest zresztą coraz mniej. Masy uświadomione zaś to są te, które mają jakiś polityczny ideał (o przekonaniach i poglądach mas trudno mówić), które wierzą w jakiś symplicystycznie sformułowany dogmat i nie są skłonne do porzucenia go za jakieś inne, zwłaszcza gospodarczej natury korzyści. Na pochwałę mas trzeba powiedzieć, że zazwyczaj są one bardzo bezkompromisowe o ile chodzi o uświadomiony ideał, zdrada nie jest zjawiskiem masowem, jest z samego pojęcia zjawiskiem wyjątkowem, indywidualnem.

Do mas uświadomionych trafić zatem może tylko ten, kto im namacalnie udowodni, że potrafi realizować ich ideał lepiej, niż ich dotychczasowi przywódcy.

Chcąc trafić bezpośrednio do uświadomionych mas ukraińskich musielibyśmy stanąć do licytowania się z dotychczasowem ukraińskiem przywództwem w realizacji narodowych ukraińskich haseł. Licytacja taka sprowadziłaby nas bardzo szybko z terenu osiągalności i zdrowego rozsądku.

Pytanie drugie kto ma trafić do tych mas ukraińskich?

Do mas tych napewno nie trafi urzędnik, chyba taki i z takim samym końcowym wynikiem jak do mas polskich trafiał urzędnik austrjacki lub rosyjski. Ale nawet i to jest wątpliwe, bo czasy się zmieniły. Urzędnik ancien regime'u nie był zjawiskiem tak masowem i codziennem jak obecnie, miał znacznie większy mir społeczny i zdaje się był wśród chłopstwa popularny.

Urzędnik epoki powojennej napewno na wsi popularny nie jest, przyczem jest zupełnie obojętne jakim językiem ta masa wieśniacza mówi. Pochodzi to stąd, że nadmierny wzrost agend państwowych sprawił, że ingerencja państwa w życie codzienne stała się uciążliwa i kosztowna i rolnik w urzędniku widzi przedewszystkiem osobnika, którego musi z podatków opłacać, a z którego nie ma żadnego pożytku. Biurokracja ma przytem naturalną skłonność do zadawalania się pozorami. Przyjdzie okólnik, nakazujący trafić bezpośrednio do mas i zasymilować je państwowo czy narodowo, to rzecz jasna przekaże go się wójtom i pisarzom gminnym, ci zorganizują pewną ilość zebrań, napiszą parę adresów, urządzą pochód i napiszą raport. Ale to nie jest jeszcze „rozwiązanie sprawy ruskiej".

Jedyną warstwą, która ma z masą ruskiego chłopstwa jeszcze jaki taki przyjazny kontakt to jeszcze warstwa ziemiańska a przynajmniej wcale liczne jednostki do niej należące, które mają pewien dar obcowania z ludźmi. Można powiedzieć, że warstwa ta jest jeszcze dzisiaj nawet pewną więzią, wiążącą czerwonoruskiego chłopa z państwem, ale przyszłość tej warstwy jest w tej chwili pod znakiem zapytania, co bynajmniej nie wzmacnia jej wpływów. Wpływy może mieć tylko czynnik uważany za trwały.

Wpływu najpopularniejszych nawet ziemian nie należy tedy przeceniać, chyba żeby się położenie ziemiaństwa radykalnie zmieniło.

Mieszczaństwo polskie na Rusi Czerwonej, mówię o mieszczaństwie aryjskiem i nieurzędniczem, jest niezwykle słabe, kontaktów z ludem miejscowym nie ma prawie żadnych i ludu tego nie zna zupełnie.

W cytowanej powyżej pracy mej p. t. „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej" wyjaśniłem, dlaczego wpływ rodzimej inteligencji na lud ukraiński jest bardzo trudny do pokonania i dlaczego jest ona jakby rodzajem filtru, przez który muszą przechodzić wszystkie wrażenia zanim do ludowej masy dojdą i na nią wpływ wywrą. Tutaj wystarczy przyczyny te pokrótce streścić:

1. Dlatego, że inteligencja ta świeżo z ludu wyszła i jest

z nim związana tysiącznemi węzłami pokrewieństwa i obyczaju.

2. Dlatego, że skutkiem utrudnionego dostępu do posad płatnych z publicznego grosza, inteligencja ta żyje życiem gospodarczem, że mieszka na wsi, organizuje jej życie i oddaje rolnikowi codzienne namacalne usługi.

3. Dlatego, że zadawala się naogół niezmiernie skromnem wynagrodzeniem, więc wieśniak znosi względnie chętnie ofiary połączone z jej utrzymaniem.

4. Dlatego, że — by uniknąć śmierci głodowej — musiano nieustannie walczyć o byt narodowo-gospodarczych organizacyj. Byt ten może utrzymywać tylko podniecając nieustannie narodowe uczucie chłopa, bo tylko w ten sposób może czynić go skłonnym do ponoszenia ofiar związanych z utrzymaniem narodowo - gospodarczych organizacyj. Wymagając od niego (czasem nawet terrorem) ofiar na rzecz t. zw. sprawy narodowej, inteligencja ukraińska zaspakaja tem samem wrodzony każdemu człowiekowi głód ideału, który jest jedną z najważniejszych duchowych potrzeb ludzkości.

Nastroje uświadomionych mas ukraińskich zmienią się tedy dopiero w wyniku zmiany nastrojów narodowej inteligencji. To jest dla mnie pewnik.

Zważyliśmy raz jeszcze wszelkie najpopularniejsze recepty, zalecane przez opinję publiczną: a więc 1) same pojęcie narodu, 2) program asymilacji, 3) metodę bezpośredniego trafiania do mas. Podzieliły one los króla Baltazara, który „znalezion był lekki".

Jeżeli jednak tamto wszystko odrzucamy, to cóż czynić należy? Należy stanąć na gruncie rzeczywistości i wyciągnąć z niej konsekwencje:

1. Uświadomić sobie, że Rzeczpospolita była, jest i będzie państwem wielonarodowem i wielojęzycznem.

2. Uświadomić sobie, że Rzeczpospolita jest to „rzecz trwała", daleko trwalsza od zapożyczonych z minionego stulecia i innych narodów pojęć narodowości, że zatem niema powodu do tracenia nerwów wobec przemijających nastrojów i wyobrażeń.

3. Uświadomić sobie, że kardynalnem zadaniem naszej narodowościowej polityki jest umożliwić różnym narodom zgodne i solidarne współżycie w obrębie jednolitego państwa, podobnie jak rozwiązano analogiczne zagadnienie odnośnie do różnolitych wyznań. Czasy walk narodowościowych miną jak minęły czasy walk religijnych.

4. Uświadomić narodom autochtonnym zamieszkującym Państwo, że nie mieszkają w Państwie obcem jako materjał skazany „na wymarcie i bezechowy koniec bytu", lecz w Państwie własnem, które jedynie może im zapewnić możność rozwoju pod warunkiem, że i one oddadzą cesarzowi to co jest cesarskiego.

5. Jeżeli chodzi o masy, to okazać im rzetelną troskę o ich byt materjalny, co osiągnie się najlepiej przez zlikwidowanie nadmiernie rozbudowanych, kosztownych i uciążliwych bezużytecznych agend państwowych, ale nie próbować wszczepiać im ideałów środkami biurokratycznemi, bo te nic, prócz złudzeń, nie dadzą.

6. Zająć się elitą każdego z zamieszkujących Państwo autochtonnych narodów i starać się odpowiednio ją wychować. To zadanie nie przechodzi sił Państwa a możemy być pewni, że o nastrojach mas zadecydują w ostatecznym rezultacie nastroje elity a nie odwrotnie.

7. Umożliwiając tej elicie normalną karjerę w niezliczonych gałęziach pracy jakie stwarza nowoczesne życie, dajemy jej z jednej strony pewien stan posiadania, który się lękać będzie utracić, z drugiej obarczamy ją odpowiedzialnością, jakiej dzisiaj nie ponosi.

8. Uświadomić tej elicie dwie podstawowe prawdy: 1) że walka z Państwem może jedynie ściągnąć klęski i na nią i na kierowany przez nią naród, 2) że współpraca z państwem daje jej możność owocnej i to należy podkreślać owocnej pracy nad rozbudową własnego narodu i doprowadzanie go do normalnej europejskiej struktury. Pierwsza z tych prawd zaczyna powoli przenikać w świadomość zainteresowanych, ale trzeba ją uzupełnić drugą.

O wyniki można być spokojnym.

„Diłu" w odpowiedzi.

Artykuł W. Bączkowskiego „Podstawy rozwiązania problematu ukraińskiego w Polsce" („B. P. U." z dn. 17 lutego b. r.) wywołał dłuższe jego streszczenie wraz z uwagami krytycznemi na łamach dziennika „Diło". I uwagi i streszczenie to nie wyszły poza szranki dziennikarskiej zdawkowości i powierzchowności, zdradzającej pióro ich autora, dziennikarza raczej niżeli polityka.

Przykładem powierzchownej analizy artykułu W. Bączkowskiego posłużyć może zarzut rzekomego zlekceważenia przez niego roli autochtonicznej ludności ukraińskiej w różnych krajach europejskich, wysnuty ze zdania o sile ukraińskiej *mniej lub więcej biernej, jakkolwiek posiadającej szereg ośrodków wielkiej aktywności potencjalnej w postaci emigracji politycznej oraz emigracyjnego rządu Ukr. Republiki Ludowej.* Niewymienienie w przytoczonem zdaniu poszczególnych odłamów autochtonicznych narodu ukraińskiego w żadnym wypadku nie mogło być zinterpretowane jako ich nieuznanie czy też zlekceważenie. I to tembardziej, że w rozdziale IV pracy W. Bączkowskiego znajdujemy zdanie o trwałości dążeń Ukraińców w Polsce do zabezpieczenia sobie swych potrzeb kulturalno-narodowych. Zdanie to podniesione jest do pozycji pewnika, a więc najdobitniej stwierdza, że ludność ukraińska w Polsce posiada rolę samodzielnego czynnika politycznego.

Nie sposób również zrozumieć, dlaczego cytaty z tak wielkich poetów ukraińskich jakiemi są M. Rylśkyj i Tyczyna, z ich n. b. utworów bynajmniej nie bolszewickich i zapewne powstałych w chwilach niezależności duchowej, mogą być złem źródłem przy omawianiu (syntetycznem!) zagadnienia rozwoju narodu ukraińskiego i to omawianiu, które w rezultacie stwierdza istotny rozwój i dojrzałość narodu ukraińskiego. Moglibyśmy zapytać autora z „Diła" czy naprawdę poważnie traktuje on Rylśkiego i Tyczynę (nie w całości a we fragmentach) za złe źródło dla poznania psyche narodu ukraińskiego, czy też poprostu szuka dziury w całem? To ostatnie wydaje się nam prawdopodobniejszem.

A teraz w odpowiedzi na zapytanie co ma znaczyć wyraz uprzywilejowania kresów? Odpowiedź na to pytanie znajdzie czytelnik (ale uważny!) w artykule W. Bączkowskiego na strt. 74 (szpalta prawa pomiędzy wierszem 7 a 23 licząc od góry). Nie będziemy więc jej poraz drugi powtarzać.

Najdziwniejszą jednak cechą omówienia w „Dile" jest jego zatrzymanie się na drugorzędnych momentach artykułu „Podstawy rozwiązania problematu"... obok bardzo pobieżnego przejścia do „porządku dziennego" nad zasadniczemi zarzutami, skierowanemi pod adresem sformułowań W. Bączkowskiego. A więc w omówieniu „Diła" znajdujemy tak zobowiązujące do udokumentowania zdanie jak

„...mamy (tu) ukryty„ znany, stary podział na obywateli I i II klasy"... lub zdanie o ukrytych momentach niebezpieczeństwa dla Ukraińców (!) albo też „stwierdzenie" jakoby Ukraińcy mieli być wyłączonemi od wpływów na rządzenie krajem, a wreszcie że wogóle nie uznaje się politycznych aspiracji „narodu ukraińskiego w granicach Polski".

Tkwi tu albo istotne nieporozumienie, bądź... mamy tu wyraz wogóle negacji w formie zawoalowanej przez ogólniki i apodyktyczne twierdzenia. Bowiem 1) odpowiadając na zarzut nieuznawania aspiracji „narodu ukraińskiego w granicach Polski" podkreślić należy, że „Biuletyn Polsko-Ukraiński" od *pierwszego* numeru zawsze stał na stanowisku niepodległości państwowej Ukraińców i stanowisko to w miarę sił swych i możności propagował. W artykule W. Bączkowskiego zagadnienie niepodległości ukraińskiej również było poruszone od strony wykazania braku momentów istotnej sprzeczności pomiędzy interesami państwowemi pomyślanej niezawisłej Ukrainy a Polską. Że natomiast „B. P. U." nie dotyka maksymalnych politycznych aspiracji *narodu ukraińskiego w Polsce (?)* uznając jego prawa do pełnego dosytu kulturalnego i materjalnego, jest to również dlatego, że żadnego narodu ukraińskiego w granicach Polski nie zna, zna natomiast jego stosunkowo małą cząstkę, stanowiącą mniej więcej 1/7 część całości, która ponadto w swej połowie zamieszkuje tereny w 40 — 60% mieszane, polsko-ukraińskie, a ludność miejska ma w 60 — 90% żydowsko-polską.

2) Na stronicy 75 w artykule W. Bączkowskiego czytamy o:

udzieleniu odsetkowo równego Polakom udziału Ukraińców w aparaturze państwowej wraz z dopuszczeniem ich na w s z y s t k i e stanowiska...

Ten niedostrzeżony przez „Diło" szczegół zdaniem naszem rozstrzyga zagadnienie wpływu Ukraińców na rządzenie Państwem. Rozstrzyga tembardziej, że w Polsce, jak i w całym niemal świecie powojennym, następuje zdecydowany zmierzch klasycznego parlamentaryzmu, jego swoiste zespalanie z władzą wykonawczą. W tem również zdaniu zawarta jest zasada zupełnego równouprawnienia elementu ukraińskiego w Polsce z elementem polskim, stworzenie dla niego równych warunków dla rywalizacji i walki o swe pozycje materjalne i kulturalne. Stąd też sami Ukraińcy, ich poziom kulturalny i stopień natężenia ideowego zdecyduje, czy będą oni w Polsce elementem I czy też II kategorji.

Sprawa tendencji omnipotencyjnej państwa polskiego, wysunięta przez W. Bączkowskiego, wypływa z dużego poczucia rzeczywistości i chęci jej respektowania, dającego najmocniejszą gwarancję wykonalności i praktyczności wytycznych artykułu „Zarys podstaw rozwiązania problematu ukr. w Polsce". Pozatem ta właśnie realność myślenia politycznego spowodowała, że i moment niezwalczalności ukraińskich postulatów narodowo-kulturalnych uznał W. Bączkowski za pewnik, a więc w dostatecznej mierze zachował zasadę równości w potraktowaniu obu „stron", zachował zasadę obustronnego respektowania istotnego stanu rzeczy i z jednej i z drugiej strony „barjery".

I w tem miejscu musimy zaznaczyć, że od naszego stanowiska, pragnącego znaleźć *modus vivendi* w harmonijnem uznaniu praktycznie bytujących haseł i programów obu „stron", odbija zgoła nierealne stanowisko „Diła", przeciwstawiającego naszej pozycji ideę autonomji terytorjalnej w okresie powolnego zaniku autonomji śląskiej i całego szeregu zdecydowanych procesów administracyjnie i prawno-konsolidacyjnych w Polsce i nietylko w Polsce, bo i w Niemczech i w innych krajach.

Pozatem moment autonomji terytorjalnej jest wielkiem zagadnieniem przebudowy ustroju Państwa, natomiast wszystkie proponowane przez nas zasady leżą w granicach możliwości obecnego ustroju i obecnej nowej, naradzającej się konstytucji polskiej.

Nierealnym więc hasłom „Diła" przeciwstawiamy realne (rzecz inna czy praktycznie predestynowane do realizacji) „*Podstawy rozwiązania problematu ukraińskiego w Polsce*".

H. O. Boczkowski

Świat zdąża do nacjokracji

(Dokończenie).

V.

Pionierami unarodowiania się czarnej rasy są *murzyni amerykańscy.* Historja ich nacjonalizacji w przeciągu jednego półwiecza — bez wątpienia, — należy do najdramatyczniejszych a zarazem i najciekawszych kart dziejów ludzkości. Niewolnicy, formalnie zwolnieni w 1863 r. a porzuceni na łaskę losu, mając wszak przeciwko sobie fanatyczną negrofobję białych sąsiadów, nie chcących się rozstać z minionym stanem rzeczy — *(Ku-Klux-Klun)*, murzyni P. A. Stanów Zjednoczonych na własną rękę i własnemi siłami, wspierani sympatją i pomocą pewnego grona białych idealistów-negrofilów — torowali sobie drogę do narodowego samookreślenia. Są podziwu godne wyniki tych wprost bohaterskich wysiłków. Francuski znawca i przyjaciel murzynów amerykańskich prof. *Fr. L. Schoell* napisał bardzo ciekawe dzieło — „*La Question des Noirs aux États Unis*" (1923), w którem dokładnie i z wielką erudycją naszkicował historję emancypacji narodowej tej 1/10 części ludności wielkiej republiki za oceanem. Jednym z dodatków do tej pracy jest przegląd statystyczny dorobku murzynów amerykańskich w różnych dziedzinach życia narodowego za okres 1866 — 1920 w przeciągu którego dokonał się proces ich etno- i nacjogenezy. Cyfty te są tak wymowne, że nawet kilka z nich, które dalej podaję, zupełnie wystarczą dla plastycznego uwypuklenia obrazu indywidualizacji narodowej młodego narodu czarnego pochodzenia, którego można uważać za pierwszego absolwenta (z łona tej rasy) nacjogenezy nowoczesnej w stylu europejskim.

A więc w dziedzinie *materjalnego dobrobytu:* Po skasowaniu niewoli murzyni mieli tylko 12000 własnych domów; po 54 latach — 600.000. Wówczas należało do nich 20.000 farm; w r. 1920 — 1 miljon. Przedsiębiorstw handlowych wtedy było 2.100; a po półwieku ogromnej pracy i trudu — 50.000. Wartość ich mienia ogólnego w 1866 r. wynosiła 20 miljonów dolarów, a po wojnie wszechświatowej osiągnęła conajmniej sumy — *1 miljarda.* Fanatyczni nacjonaliści murzyńscy, propagujący sprawę swej emancypacji narodowej i politycznej w paryskim miesięczniku — „*La Race Nègre*" — w 1927 r. szacowali wartość dóbr materjalnych swoich ziomków za oceanem — astronomiczną wprost liczbą *2 biljonów dolarów (?!).*

Nie mniej ciekawe są wyniki odrodzenia narodowego murzynów amerykańskich w *dziedzinie kulturalnej*, ściślej mówiąc na polu *szkolnictwa czarnego*. Tylko 10% ich przodków umiało czytać i pisać, gdy Lincoln rozpoczął swą wiekopomną akcję przeciw niewolnictwu murzynów w Stanach Zjednoczonych A. P. Dziś liczba analfabetów wśród nich wynosi maksymalnie 20%. Ile narodów euroopejskich z wielką tradycją historyczną może im pozazdrościć pod tym względem?! Swoją karjerę kulturalną murzyni w S. Z. A. P. zaczynali mając 15 szkół średnich i wydziałowych; 510 było ich w r. 1920, 100.000 uczni czarnych mogło wtedy pobierać naukę szkolną; ponad 1.800.000 było ich po 50 latach. Liczba nauczycieli w tym okresie podniosła się z 600 do 42.000. Wartość wyposażenia szkół z 60.000 do 22 milj. dolarów. Wydatki na utrzymanie szkolnictwa wynosiły rocznie wówczas 700.000 dol.; po 54 latach — 18 milj. dolarów. Fundusze na te cele, zebrane przez ludność czarną, również ogromnie się podwyższyły, bo z 80.000 do 1.700.000 dolarów. Ogromne postępy murzyni amerykańscy zrobili też w dziedzinie *spraw religijnych*. Np. ilość kościołów w oznaczonym terminie zwiększyła się z 700 do 45.000; liczba szkół niedzielnych z 1.000 do 46.000; ilość uczniów w nich z 50.000 do 250.000; wartość majątku czarnych kościołów z 1.500.000 do 75.400.000 dolarów.

Nie mogę tu, z powodu braku miejsca, zatrzymywać się nad dorobkiem murzynów amerykańskich w dziedzinie *nauki, sztuki* i *literatury*. Zaznaczę, że w każdej z nich murzyni mają wybitnych i oryginalnych przedstawicieli. Dysponują też szeroko rozgałęzioną własną *prasą*. Wśród nich pokaźną liczbę dobrze redagowanych pism naukowych i literackich. Zwłaszcza godny uwagi jest miesięcznik — „*The Crisis*", wydawany przez przywódcę oraz ideologa ruchu młodomurzyńskiego *W. E. Burghardt Du Bois*, utalentowanego literata oraz wybitnego socjologa, autora niezmiernie ciekawej publikac „*Dusza czarnego ludu*" (Souls of Black Folk), którą można uważać za swego rodzaju manifest rasy czarnej. Du Bois założył m. in. „*Zjednoczenie Narodowe w celu podniesienia ludzkości kolorowej*" (National Assosiation for the Advancement of Colored People"), które w r. 1927 miało 300 filji i blisko 100.000 członków. Jej organem jest wzmiankowane czasopismo „*Kryzys*", namiętnie walczące o równouprawnienie ras kolorowych, uważając to zagadnienie za najważniejszy problemat naszego stulecia.

Amerykańscy murzyni byli inicjatorami oraz ideologami *ruchu pan-afrykańskiego*, który powstał i zorganizował się po wojnie światowej. Trzeba nadmienić, że wojna ta miała ogromny wpływ na uświadomienie rasowe plemion kolorowych. Przecież wojska kolorowe biły się na frontach europejskich. Widziały na własne oczy pożeranie się nawzajem białych ludów. I o ile porażka Rosji przez Japonję w 1904/5 r. była pierwszym aktem zmierzchu rasy białej w oczach ludów kolorowych nietylko Azji, ale całego świata, to wielka wojna 1914—18 lat ostatecznie pogrzebała w ich wyobraźni tradycyjny mit o niezłomnej mocy tej rasy, panującej na całej kuli ziemskiej.

Zwłaszcza murzyni amerykańscy byli rasowo zrewolucjonizowani przez swój pobyt w Europie podczas wojny wszechświatowej, gdzie ich traktowano po ludzku, a nie jak w Ameryce — z pogardą i nienawiścią. Przejęli się szczerze hasłem samooznaczenia narodów. Uważali za możliwe i konsekwentne rozszerzyć je i na ludzkość kolorową, a przedewszystkiem na własną czarną rasę. W związku z tem w Paryżu w 1919 r. podczas obrad Konferencji Pokojowej zwołany był *I Kongres Pan-afrykański*, w którym brało udział 57 delegatów, reprezentujących murzynów z całego świata a mianowicie z 15 krajów. Drugi Kongres P. A. był zwołany w 1921 r.; obradował w Londynie i w Brukseli. Tym razem brało w nim udział 110 delegatów; w tej liczbie 33 z U.S.A. Licznie była reprezentowana Afryka oraz Haiti, Jamajka i inne kraje zamorskie z murzyńską ludnością tubylczą; naogół żywioł murzyński na Kongresie P. A. przedstawiał 27 jednostek terytorjalnych. Obydwa te Kongresy P. A. opracowały dokładny i szeroki program akcji wszechświatowej, mającej na celu całkowite równouprawnienie oraz emancypację ludów czarnych. Swoje żądania konkretne II Kongres P. A. wystosował do Ligi Narodów, jednocześnie odwołując się w specjalnym manifeście do całego świata. Poniższy ustęp z tego manifestu wyraźnie mówi, o co chodzi zwolennikom „czarnego sjonizmu":

„Jest obowiązkiem cywilizowanego świata wszystkiemi sposobami dopomóc rasom opóźnionym oraz ujarzmionym, ażeby zdobyły pełnię życia. Niech wszyscy ludzie, niezależnie od koloru ich skóry, idą naprzód szlakiem postępu ludzkości. Nie jest to groźbą dla nikogo; nie jest to tembardziej koncesją altruistyczną; jest to najwznioślejsze pojęcie ideału ludzkiego; jest to dla wszystkich droga wskazana"! Zbudzona narodowo czarna rasa marzy o powrocie do swej ojczyzny Afryki. Wiele w tem jest romantyczności rasowej. Ale czy przed stu laty nie szła tą samą drogą Młoda Europa?! Wystarczy przypomnieć sobie romantyczny panslawizm *I. Kollar'a;* poetyczny panlatynizm *Fr. Mistrala* albo zachwyt *B. Björnsona* przez jakiś czas nad panskandynawizmem, ażeby zrozumieć, że i pan-afrykanizm murzynów jest tylko przejściowym etapem rasowym na drodze do ich indywidualizacji narodowej...

VI.

Otóż widzieliśmy jak rasa żółta, brunatna i czarna, razem reprezentująca ponad 1.100.000.000 ludzi (czyli $^{3}/_{5}$ całej ludzkości) — jest już wciągnięta żywiołowo do wozu fermentacji nacjogenetycznej. Dwa pozaeuropejskie kontynenty Starego Świata — Azja i Afryka — przeżywają swoją „wiosnę narodów". W Świecie Nowym ruch murzyński jest oddźwiękiem tego renesansu narodowego całego świata. W Ameryce Południowej są już namacalne symptomy budzenia się i odrodzenia „*czerwonoskórych*" *Indjan*. A żyje ich tam przeszło 36 miljonów. W *Peru* i *Meksyku* mają niewygaśnięte jeszcze zupełnie swoje tradycje narodowe. Nauka wskrzesiła wspomnienia uśpione o rzeszy *Inków*, o państwie *Azteków*, o oryginalnej i monumentalnej kulturze *Majów*. Dziś się mówi i pisze wiele o „*indjanizacji*" Ameryki Południowej. Jest to również przejaw powyżej zaznaczonego renesansu nacjonalnego, świadczący o tem, że świat dzisiejszy z nieprzepartą siłą zdąża do nacjokracji.

Nawet tam w *Australji* i *Oceanji*, terytorjalnie rozproszonej, populacyjnie zdziesiątkowanej — można obserwować ciekawe symptomy nacjogenezy lokalnej, np. w europeizacji *Maorysów*, odgrywającej nie ostatnią rolę w procesie formowania się *narodu nowozelandzkiego*, albo w błyskawicznej etnogenezie *Hawajczyków*, *Fidżyjczyków* czy *Tongajczyków*. Niestety są to już ludy ilościowo mikroskopijne, skazane na zagładę fizyczną w niedalekiej zapewne przyszłości. Zapóźno, — bo dopiero po wojnie wszechświatowej, zainicjowany został w *Honolulu* t. zw. ruch *pan-pacyficzny*, zadaniem którego ma być studjum naukowe ludności tubylczej piątej części świata z jej okolicami oraz ochrona krajowców przed masowem wymieraniem. Jest więcej niż wątpliwe, czy plan ten się uda? Zdaje się, że krajowców *Mikro*, — *Mela* — i *Polinezji* czeka los Tasmańczyków, przed 60 laty ostatecznie zanikłych. Spotkanie z rasą białą albo, konkretnie mówiąc z bezwzględnym imperjalizmem kolonjalnym mocarstw europejskich, — było dla nich, jak dowiódł to wybitny czeski australog — prof. *I. Danesz* w swej pracy — „*Pochodzenie oraz zanik krajowców w Australji i Oceanji*" (1924) — rzeczywiście tragiczny. Dziś ten kontynent ciekawi etnologów i socjologów jako swego rodzaju ostatni rezerwat prymitywnej socjogenezy, właśnie tych „stopni kulturalnego rozwoju ludzko-

ści, która w Europie wymarła już przed wielu tysiącami lat" *(I. Danesz)*. Tembardziej ciekawy jest fakt, że i to żywe muzeum zamierzchłej przeszłości rodzaju ludzkiego — uległo na pograniczu dwuch ostatnich wieków żywiołowemu wylewowi wszechświatowego renesansu nacjonalnego, dając niejako oryginalne przykłady, swoistej etno- a nawet nacjogenezy.

VII.

Nakreśliłem tylko ogólny obraz tego najtypowszego zjawiska naszej epoki. Chodziło mi głównie o skonstatowanie faktu jego powszechności. Dlatego nie analizowałem tu jego przyczyn oraz konstrukcji wewnętrznej. Nawiasem zaznaczę, że jest to i z punktu widzenia socjologicznego proces nadzwyczaj skomplikowany. Współdziałają z nim czynniki i pierwiastki różnego gatunku: *ideowe* i *uczuciowe;* romantyzm i mistyka; humanitaryzm i demokracja; solidaryzm i ekskluzywizm; mesjanizm i „egoizm święty" oraz ekspansja bez granic, samopoświęcenie i zwierzęca brutalność; rewolucyjność z reakcyjnością — najdziwniej i wprost nie do uwierzenia skojarzona. Pozatem wielką rolę odegrywają w nim *czynniki materjalne i zewnętrzne*, a więc: kapitalizm nowoczesny, aktywizujący bierne dotąd warstwy organizmu społecznego (głównie robotnicze i chłopskie), industrializacja oraz urbanizacja, sprzyjające pogłębianiu etnogenezy pierwotnej w nacjogenezę nowoczesną, którą przedewszystkiem charakteryzuje pogłębienie świadomości narodowej wszerz i wgłąb piramidy społecznej przed wielką rewolucją francuską, znacjonalizowaną tylko w górnej swej części (arystokracja, rycerstwo, szlachta oraz elita duchowa). Wielką i przodująca wprost rolę w jej nacjogenezie odgrywa *kultura*, stopniowo nacjonalizowana oraz demokratyzowana, zaczynając od renesansu oraz reformacji europejskiej, sprzyjającej indywidualizacji na razie osobistej, następnie zbiorowej. *Poezja* i *nauka* są wiernymi sprzymierzeńcami ruchu narodowościowego. Nieraz popiera go nawet archeologja oraz tradycjonalizm historyczny, umiejętnie wykorzystany przez nacjonalizm współczesny *(mit* i *legenda)*. Ale za największą jego dźwignię można uważać *prasę*, która jest codziennym propagatorem masowej opinji ogólnej. Obok niej *szkoła* działa analogicznie, modelując duszę młodego pokolenia. Słusznie twierdzi więc *R. N. Coudenhove-Calergi*, że *„szkoła, literatura i prasa* są organami narodowości nowoczesnej".

O ile więc te siły działają w owem społeczeństwie z wciąż wzrastającą mocą, to naturalnym jest przeto coraz większy rozpęd nacjonalizacji powszechnej. Obecnie, jak widzieliśmy, ogarnęła już w większym czy słabszym stopniu cały glob ziemski, wszystkie kontynenty. Pod jej wpływem przeobraża się cały świat. Zwłaszcza wojna wszechświatowa zaktywizowała ruchy narodowościowe, doprowadzając nacjonalizm wyzwoleńczy do stanu wprost gorączkowego paroksyzmu. Po wojnie nacjonalizm narodów zignorowanych, względnie pokrzywdzonych przez budowniczych Nowej Europy, — wpadł w stan *psychozy masowej*, przejawiającej się nieraz w postaci teroru, szalonego oraz brutalnego, który często dziwi obserwatora swoim irracjonalizmem politycznym. Wrogowie idei narodowościowej posługują się tym argumentem dla dyskredytacji nacjonalizmu wogóle. Przypominają zapomniany aforyzm poety austrjackiego *Fr. Grillparcera*, który w zaraniu odrodzenia narodowego w monarchji habsburgskiej wieszczo przepowiedział szlak zwyrodnienia tej idei, streszczając go w swoistej tyradzie: *„Von Humanität, durch Nationalität, zur Bestialität"!* Europa powojenna według tej formuły przeżywa pono obecnie ostatnią fazę wymienionej ewolucji, t. j. „zwierzęcości" nacjonalistycznej. A z tego stanu rzeczy robią się pośpieszne konkluzje a la *Wells*, który potępia nacjonalizm wogóle i bez zastrzeżeń. Niesłusznie i zresztą jednostronnie. Bo nacjonalizm współczesny w swojej formie *pannacjonalistycznej* z nieraz dzikiemi wybrykami jest tylko zjawiskiem *tymczasowem*, niewątpliwie *patologicznem* i przejściowem. Spowodował go zawód ludów, walczących o swoje *ja* narodowe, o swoje prawo do życia odrębnego, którym wojna wszechświatowa tak wiele obiecała, a Konferencja Pokojowa tak mało albo wogóle nic nie dała. To jest jedną z głównych przyczyn dzisiejszej psychozy pannacjonalistycznej, przejawiającej się rewolucyjnej reakcyjności narodów zignorowanych albo pokrzywdzonych przez budowniczych świata powojennego. Ich hasłem jest „czem gorzej, tem lepiej; byle inaczej". Narody te są zdenerwowane, jak pasażer, któremu przed nosem odjechał pociąg, przepełniony szczęśliwszymi podróżnymi, którym się udało wcisnąć do wagonu.

Nie po raz pierwszy i pewno nie ostatni historja jest świadkiem takiej psychozy masowej, nazewnątrz się ujawniającej w dziko-barbarzyńskich gwałtach. Niedalej jak dwieście — trzysta lat temu *fanatyzm religijny* grasował po Europie, zalewając ją krwią „heretyków". Dziś, czytając kronikę tych smutnych dziejów, nie rozumiemy już, że ten czy inny sposób wierzenia mógł wywoływać takie krwiożercze namiętności. Za lat 50, ci, którzy po nas przyjdą, — ze zdziwieniem będą czytać dzieje współczesnych walk nacjonalistycznych. Tolerancja religijna jest obecnie aksjomatem politycznym. Dla naszych wnuków takim aksjomatem będzie tolerancja narodowa.

VIII.

Ale nim do tego dojdzie, to znaczy, nim nacjokracja stanie się faktem dokonanym, świat przeżyje jeszcze niejeden dramat krwawy, osnuty na tle zmagań narodowych. Pojedynek między Narodem i Państwem, nim to ostatnie potrafi się przystosować do systemu nacjokratycznego, zapewniającego autonomję polityczną każdemu narodowi, świadomemu swojej odrębności oraz kulturalnie indywidualizowanemu, będzie niewątpliwie mieć przebieg bardzo dramatyczny a nieraz i wprost tragiczny. Bo na tem tle jest nieunikniony cały szereg konfliktów. Przedewszystkiem między historycznemi *„Herrevölker"* oraz plebejskiemi „narodami bez historji" można zgóry przewidywać, że wysiłki pierwszych o przymusową asymilację drugich będą syzyfową pracą. Niezbicie to dowodzi historja. Nawet kultury wielkie o wszechświatowem znaczeniu nie były w stanie w przeciągu minionych stuleci zasymilować narody podbite: *francusko-flamandzki* żywioł w *Belgji* albo *bretoński* we Francji, który dziś wciągnięty został przez nią do nacjogenezy nowoczesnej, jak o tem ciekawie pisze np. nacjonalista bretoński *M. Duhamel* w swoim programowem dziele: *„La Question bretonne dans son cadre européen"* (1929), traktując sprawę bretońską pod kątem widzenia *polityki europejskiej* oraz ogniem niszczącej krytyki demaskując bezsilność centralizmu państwowego Francji.

Anglja nie dała sobie rady z *Kimmrami* w Walji. Ich kultura oraz język celtycki żyją i odrodziły się najzupełniej pośród najnowocześniejszego kapitalizmu, który pono miał całkowicie zasymilować te zabytki narodowe historycznego status quo anno domini 1000. Lloyd George, — ubiegając się o mandat w Walji, przemawiał zazwyczaj do górników — Kimmrów w ich ojczystym języku.

Albo weźmy np. *Basków* — najstarszy naród europejski niezbadanego dotąd pochodzenia, używających bardzo archaicznego języka; etnologowie nie rozwiązali jeszcze tego rebusu. Po wiosennej rewolucji w Hiszpanji (w 1931 r.), nietylko *Katalończycy, ale* i *Baskowie* zawzięcie walczyli o swoją autonomję polityczną. A cały świat ze zdziwieniem mógł konstatować baskizację zewnętrznego kraju, nie wykluczając nawet San Sebastiana, tego międzynarodowego letniska, gdzie co roku zjeżdżają się kosmopolici całego świata.

Podczas wielkiej wojny znany obrońca pangermanizmu niemieckiego, prof. *P. Rohrbach* dowodził m. in., że np. język *łotewski* albo *estoński* nie nadaje się do wytworzenia wyższej kultury, literatury i nauki, więc językiem kultury typu europejskiego w krajach nadbałtyckich musi pozostać język niemiecki. Już wówczas te twierdzenia wybitnego uczonego niemieckiego były anachronizmem, bowiem w języku łotewskim i estońskim zjawiły się już przekłady arcydzieł literatury oraz nauki. A dziś — obydwa te narody, po zdobyciu swej niepodległości mają własne wszechnice i bez trudu pracują we wszystkich dziedzinach kultury nowoczesnej, posługując się wyłącznie swoimi językami. Rola niemieckiego języka nad Bałtykiem jest podrzędna tak samo, jak francuskiego we Flandrji, hiszpańskiego w Katalonji, angielskiego wśród Celtów brytyjskich, wracających, jak np. teraz *Irlandja* do prawie zupełnie już zapomnianego przez większość ludności miejscowej języka irlandzkiego.

Krótko mówiąc: w XX w. narody już się nie asymilują, o ile siedzą na swej ojczystej glebie. Asymilują się jednostki, oderwane od swego żywiołu, ale nie narody. Zrozumiał to budowniczy Nowej Turcji Odrodzonej *Kemal Pasza* i dlatego rozwiązał sprawę mniejszości narodowych w tem państwie w sposób bardzo oryginalny a mianowicie — w drodze wysiedlenia przymusowego np. mniejszości greckiej, bułgarskiej do Grecji oraz Bułgarji wzamian za tureckie mniejszości w tych dwuch państwach. Drugi sposób — *fizycznego wytępienia* (ausrotten) mniejszości, dziś, pomimo ogólnego zbandycenia Europy — przecież żadne państwo niema odwagi zastosować *en masse*, chociaż pozwala dziś sobie praktykować go en miniature (obozy koncentracyjne, pacyfikacyjne, więzienia, a dalej blokada gospodarcza, bojkot obywatelski, numerus clausus i t. d.), w ten sposób degradują stopniowo społecznie, politycznie, ekonomicznie, kulturalnie, moralnie i psychicznie żywioł obcoplemienny, który naogół się odznacza ogromną siłą oporu biernego i w najgorszym razie egzystuje dalej w stanie jakiejś anabiozy politycznej, broniąc się naturalnie swą nadwyżką populacyjną...

Nawet najbrutalniejsze systemy wynarodowiania, zastosowane przed wojną światową przez niektóre państwa, w stosunku do ludności obcoplemiennej — nie dały pozytywnych wyników, lecz przeciwnie — skończyły się najzupełniejszym fiaskiem. Parę lat temu Polska obchodziła smutną rocznicę *Wrześni*, którą można uważać za typowy przykład tego, że i przez szkołę jest wykluczona asymilacja dzieci podbitego narodu o ile w nim nie wygasła do szczętu ostatnia iskra świadomości jego odrębności. Pruski *hakatyzm* antypolski zbankrutował absolutnie, pomio, że był to system asymilacji przymusowej, naukowo i politycznie gruntownie uzasadniony. Zbankrutował tak samo nie mniej bezwzględny system *madziaryzacji* w przedwojennych Węgrzech, głównie skierowany przeciwko słowiańskiej ludności Transleytanji a wychodzący z założenia, że dla ziszczenia „madziarskiej idei państwowej" *(magyar allan eszme)* — wszystko jest pozwolono. Najlepszy znawca tej sprawy, wybitny nacjolog angielski *R. W. Seton Watson* — wydał w 1908 r. gruntowne dzieło: *„Racial Problem in Hungary"*, w przedmowie do którego zwracał uwagę na to, że „los Bliskiego Wschodu przedewszystkiem zależy od przebiegu spraw w Zagrzebiu, Budapeszcie i Wiedniu"... i że „misją historyczną rodu habsburskiego jest zagwarantowaniem równouprawnienia oraz wolności wszystkim plemionom tej rzeszy"... Budapeszt wogóle nie zrozumiał tego przenikliwego ostrzeżenia, a Wiedeń gdy już było zapóźno: w agonji przedśmiertnej Austrja ostatnim manifestem cesarza Karola zapowiadała przetworzenie naddunajskiej monarchji w państwo związkowe narodów. Węgry wogóle ignorowały dążenia wyzwoleńcze swych ludów. Wierzyły, że przemocą zdławią ruchy narodowościowe za Litawą. Szkoła i kościół były zmobilizowane w tym celu. Szkolny *lex Apponyae* — (1907) zrobił ze szkoły narzędzie najbezwzględniejszej madziaryzacji. Krwawy epizod we wsi *Czernowa* w 1907 r. podczas wyświęcania kościoła słowackiego, gdy żandarmerja węgierska zabiła 15 Słowaków, stawiających opór temu, aby kościół, zbudowany przez nich, był wyświęcony przez księży Madziarów — wymownie ilustrują technikę polityki asymilacji Budapesztu. Tragedja w Czernowej wywołała protesty w całej Europie. Wówczas wystąpił w obronie Słowaków wielki poeta norweski — *B. Björnson*, zamieszczając na szpaltach wiedeńskiej — *„N. Fr. Presse"* swój artykuł — *„Największy przemysł Węgier"*, w którym demaskował ostro wynarodowiający system tego państwa. Ale Madziarowie byli niezbicie pewni, że wygrają swoją kampanję przeciw żywiołom obcoplemiennym; szczególnie przeciwko Słowakom, gdy Seton - Wartson — zapytał pewnego madziarskiego profesora — patrjoty — jakiego jest zdania o wyniku tej akcji, — ten bez namysłu mu odpowiedział: *„O, my nie przestaniemy, dopóki Słowacy nie wyginą"!* Typ takiego profesora-patrjoty istnieje w Europie do dziś. Jest niewymierającym okazem paleontologji politycznej, który święcie wierzy i od czasu do czasu publicznie zwiastuje światu, że kańczugiem państwowym można wytępić warcholstwo mniejszości narodowych i w ten sposób zrobić z nich porządnych państwowców.

Psychologja nietylko takich profesorów-rzeczoznawców, ale i opinji nacjonalistycznej t. zw. sfer miarodajnych, marzących o tem, ażeby za wszelką cenę pozbyć się żywiołu obcoplemiennego — będzie niestety wielkim szkopułem na drodze prowadzącej przez zdziczenie pannacjonalistyczne doby dzisiejszej do nacjokracji, zbudowanej na zasadzie tolerancji narodowościowej — epoki przyszłej. Dlatego Europa, a poniekąd i świat cały stoją na progu dramatycznego *intermezzo* — starć oraz walk zawziętych nietylko *między* państwami, ale i w łonie pojedyńczych państw o różnorodnej strukturze, o ile państwa te zawczasu nie potrafią załagodzić swych wewnętrznych konfliktów narodowościowych przez faktyczne równouprawnienie obywatelskie i polityczne swoich mniejszości narodowych. W gruncie rzeczy jest to kwestja przedewszystkiem *natury psychologicznej*. Potrzeba będzie przezwyciężyć kilka *zabobonów*, uświęconych przez tradycję historyczną. A więc i głównie — zabobon anachronistyczny o *absolutnej suwerenności* państwa. Nowoczesne życie międzynarodowe dawno już przekreśliło ten dogmat państwoznawstwa dni minionych. Dziś *niezależność* państwowa jest mitem politycznym; bo wszystkie państwa, nie wykluczając największych mocarstw, — są *współzależne*. Potrzeba będzie przezwyciężyć tak pochlebiający ambicji narodowej zabobon nacjonalistyczny o jakiemś *posłannictwie* nadzwyczajnem tego czy innego narodu. A co za tem idzie i o prawie takiego „Herrenvolk" zjedzenie bez namysłu kogoś ze swoich sąsiadów dla dobra i rozkwitu kultury wszechświatowej. Jesteśmy świadkami tego, jak wszystkie narody, nawet najmniejsze, np. *islandzki*, liczący coś ponad 100.000 ludności, przejawiają w dziedzinie kultury oryginalną i swoistą twórczość; nie potrzebują więc opieki narodów starszych, przez historję legitymowanych i nie muszą być żywym nawozem dla ich rozkwitu państwowego. Przeciwnie: właśnie *indywidualizacja narodowa* jest żywym źródłem wiecznego odnawiania się oraz twórczego bogacenia się kultury ludzkiej, a więc i najlepszym środkiem przeciwko tej niwelizacji względnie monotonji kulturalnej, którą przewidują niektórzy socjologowie, pesymistycznie zapatrujący się na przyszłość rozwoju ludzkiego.

A najgłówniejszą rzeczą, którą ma sobie uświadomić agresywny pannacjonalizm dzisiejszy, musi być stwierdzenie faktu, że świat nie jest menażerją, narody — dzikiemi bestjami a państwa — klatkami, w których te bestje siedzą, za kratami żelaznemi, czyhając na każdą sposobność, ażeby

wyrwać się z nich i pohulać w ludożerczej ekstazie na grzbietach swoich sąsiadów. Nie! Jest to sielanka epok dawno minionych, chociaż wojna ostatnia zbudziła w ludach Europy te atawistyczne instynkty. Narody nie są bestjami, których trzeba trzymać na żelaznej uwięzi państwowej! Nie są też Robinzonami, żyjącymi samopas na wyspach bezludnych podług swego widzi mi się! Narody to niby instrumenty muzyczne w orkiestrze ludzkości. Każdy ma swoje zadanie i rolę w odwiecznej symfonji rozwoju. Są twórcami kontrapunktu oraz polifonji historji ludzkiej. Bez nich ludzkość byłaby mrowiskiem albo ulem za życia zmartwiałym w zautomatyzowanem powtarzaniu swego na wieki wieczne niezmiennego bytowania na tym świecie. Ale dopiero w epoce nacjokracji, do której zdąża ludzkość dzisiejsza przez manowce pannacjonalizmu powojennego, narody wyzwolone i wolne w twórczym rozkwicie — zadziwią świat cały największym swoim opusem — „Symfonją IX" dziejów ludzkich!

Praga, 1935.II.

VARIA

„Zagadnienie ukraińskie"

Czasopismo lwowskie „*Nowe Czasy*" z dn. 10.II. r. b. pod tym tytułem zamieszcza artykuł znanego historyka — bizantynologa, docenta Uniwersytetu Jana Kazimierza, dr. Kazimierza Zakrzewskiego.

Podkreślając pozycję zagadnienia ukraińskiego w procesach kształtowania się Europy Wschodniej, autor daje sylwetkę „*stającego się narodem*" narodu ukraińskiego, rozważając wszelkie wpływy na proces narodotwórczy Ukrainy od zarania jej dziejów. Do wpływów sprzyjających autor zalicza wpływy Polski, reprezentującej Zachód, więc formowanie się narodu ukraińskiego „odbywało się w oparciu o czynniki polskie i z ich udziałem". Nawet pomimo wojen kozackich, które były prowadzone „o zrównanie w prawach mas kozackich z masami szlacheckiemi i dyzunji z kościołem katolickim, o unję korony z Ukrainą na zasadach równorzędności, a nie o oderwanie Ukrainy od Polski"...

Inną postać przyjął ukrainizm na Rusi Czerwonej, o którą wojny kozackie tylko się otarły, nie zostawiając żadnych tradycyj. Tutaj ruch ukraiński przejawił się jako reakcja przeciwko wpływowi kultury polskiej. Do narastania konfliktów polsko - ukraińskich przyczyniła się również polska endecja. W rezultacie ukrainizm Galicji stał się ukrainizmem *par excellence*, a jego walka z polskością — walką wszystkich Ukraińców z Polską. Ten stan rzeczy — zdaniem dr. Zakrzewskiego — zaważył na rozwoju kwestji ukraińskiej po 1917 r., gdy Ukraińcy galicyjscy „woleli łączyć się z najgorszymi wrogami narodu ukraińskiego — byleby przeciw Polsce, — aniżeli szczerze poprzeć rząd ukraiński w walce o Kijów z Rosją białą czy czerwoną, skoro nie była to walka z Polską". Autor obawia się, że ów separatyzm Ukraińców galicyjskich, który rozbił Ukraińską Republikę Ludową, jeszcze i dzisiaj nie uległ zmianie.

Charakteryzując stanowisko Polski wobec kwestji ukraińskiej po r. 1917, autor stwierdza, iż wyprawa kijowska skonkretyzowała „dwie jedynie możliwe postawy": 1) postawa postępowa, liberalna i wielkokapitalistyczna, postawa imperjalistyczna: złączyć wolnościowe hasła z imperjalizmem gospodarczym; 2) postawa reakcyjna, konserwatywna, drobnomieszczańska: unikać „awantur", ograniczyć się do „pokojowego" eksploatowania wewnętrznych terenów kresowych, przy traktowaniu miejscowych Rusinów jako obywateli drugiej klasy. Obie te postawy, do dziś aktualne, zdaniem autora, nie odpowiadają wymogom politycznym „dzisiaj", gdyż polityka liberałów nie liczy się z wytycznemi polityki polskiej wobec Sowietów, szukającej trwałych podstaw dobrego sąsiedztwa, a polityka endecka nie liczy się z ewolucją państwa współczesnego, podsycając separatyzm ukraiński. Autor więc nawołuje do tworzenia wytycznych trzeciej polityki Polski wobec Ukraińców, zgodnej z tradycją dawnej Rzplitej i z wymogami ustrojowej współczesności.

Ukraińcy, zdaniem autora, muszą zrozumieć, że nie mogą liczyć na zewnętrzną interwencję mocarstw przeciwko Sowietom, gdyż polityka Poloski stwarza taki system, w którym niemożliwa będzie jakakolwiek interwencja z Zachodu przeciwko Sowietom jak również krucjata Wschodu przeciwko Niemcom, bo w akcjach tych terenem wo[illegible] byłyby ziemie polskie. Muszą więc Ukraińcy zarzucić nierealne plany interwentyzmu i przystąpić do „wytworzenia — w obrębie państwa polskiego i na jego gruncie — własnej kultury politycznej, moralnej i materjalnej, tak silnej, aby mogła oddziaływać także i na naród ukraiński w granicach Ukrainy Sowieckiej. A kultura taka może rozwijać się tylko w łączności z kulturą narodowo-państwową nowej Polski". Zespolenie ukraińskiej kultury narodowej z polską kulturą państwową tak, aby powstała organiczna, ukraińsko - polska kultura narodowo - państwowa może, zdaniem autora, zlikwidować rozłam ukraińsko-staroruski, pozbywając się tem bagażu moskwofilskiego.

Rzeczą rządu polskiego jest stworzyć *warunki rzeczowe*, sprzyjające tej ewolucji, a społeczeństwo polskie ma za zadanie stworzyć warunki *psychologiczne*. Szczere, serdeczne zainteresowanie ze strony polskiej kulturą ukraińską ułatwi Ukraińcom szczere podejście do polskiej kultury narodowo-państwowej. Resztę — kończy autor — zostawmy czasowi.

W odpowiedzi na art. dr. Zakrzewskiego „*Nowyj Czas*" (Nr. 31 i 32 z r. b.) zamieścił pod tym samym tytułem obszerny artykuł, którego autor, Mykoła Hołubeć, polemizując z wywodami dr. Zakrzewskiego, obszerni m. in. omawia projekty wytycznych owej trzeciej polityki. „Trzeba przyznać — pisze p. Hołubeć, — że teza „współpracy" polsko - ukraińskiej, pomimo że została sformułowana przez jednego ze współtwórców „trzeciej" polityki Polski wobec Ukrainy, nie jest dla nas nowością pod względem treści ani formy. Ostro podkreślony przez autora *powrót* współczesnej, świadomej narodowo i dojrzałej do zadań państwowotwórczych ukraińskości w granicach Polski do t. zw. „polskiej Rusi" z XVI w. — nikogo nie zachwyci, tak samo jak nikogo nie straszą eksterminacyjne zachcianki Grabskich i Głąbińskich... Propozycja, ażeby cementem nacjonalizmu ukraińskiego wzmocnić budowlę mocarstwowości polskiej i otworzyć przed nią perspektywy opanowania międzymorza bałtycko - czarnomorskiego w zamian za rolę „polskiej Rusi" z XVI w. nie może zachycić pokolenia ukraińskiego, które przeżyło epopeję lat 1917 — 1920 ze wszystkiemi jej słonecznemi i tragicznemi perypetjami".

„O nasze świątynie"...

Pod tym tytułem przemyski „*Ukraińskyj Beskyd*" (Nr. 3) zamieszcza artykuł *Or. Bardyna*, poświęcony 60-leciu skasowania Unji na Chełmszczyźnie i Podlasiu przez rządy rosyjskie. Czytamy m. inn.:

„Nie udało się carskim najemnikom wykorzenić wiary katolickiej wśród unitów. Przechodziła ona z pokolenia w pokolenie, zachowana głęboko w duszy jako największy skarb. Dowodem tego jest fakt, że po upadku caratu dzieci i wnuki tych katowanych unitów garnęli się z powrotem do kościoła katolickiego. Wsie domagały się księży grecko-katolickich. Zdawało się, że z przyłączeniem tych ziem do państwa katolickiego, skończy się nieszczęście unitów. Jednak daremnie upominali się oni o swoich księży. I teraz nadchodzi wiele listów do naszej redakcji z prośbą o wyjaśnienie, dlaczego nie przyślą im księży grecko-katolickich z Galicji i pytają, co należy robić, kogo o to prosić i t. d.".

Podając następnie wiadomość, notowaną już przez nas, o ponownem domaganiu się utworzenia kuryj biskupich rzymsko-katolickich (łuckiej, podlaskiej, pińskiej i wileńskiej), rewindykacji cerkwi prawosławnych, które ongiś były unickiemi, autor pisze:

„Byłoby wprawdzie łaską Bożą, gdyby w 60-lecie skasowania Unji na Podlasiu, a w 70-lecie skasowania 4-ch klasztorów Bazyljańskich, nasza Cerkiew grecko-katolicka, w nagrodę za wszystkie cierpienia wyrządzone przez urzędników carskich, otrzymała z powrotem swoje świątynie wraz z Ławrą Poczajowską. Jednak naszemu obrządkowi stałaby się wielka krzywda, gdyby rewindykacja b. naszych świątyń dała korzyści tylko łacinnikom".

Z obowiązku publicystycznego musimy stwierdzić przedewszystkiem słabą orjentację autora w sprawie, którą omawia, następnie — jaskrawą sprzeczność w tej kwestji „Ukraińskiego Beskydu" z Ukraińcami z b. zaboru rosyjskiego, bezpośrednio zainteresowanemi w kwestji rewindykacji świątyń. Chociaż autor pisze o listach, które do redakcji „Ukr. B." napływają z prośbą o odpowiedź na pytania dręczące b. unitów, jednak faktem jest, że *przytłaczająca większość b. unitów mocno trzyma się prawosławia*, a nieliczna garstka zwolenników Unji nie otrzymuje z Galicji — ani z Przemyśla ani też ze Lwowa—odpowiedzi, któreby ich zadowoliły. Akcja misyjna przeto na terenach b. zaboru rosyjskiego kuleje. Wśród prawosławnych Ukraińców nie ma ona *dziś* za sobą tych nastrojów, o których tak wymownie pisze p. Burdyn. Następnie: po ogłoszeniu reskryptu tolerancyjnego w 1906 r. dziesiątki tysięcy Unitów na Podlasiu i Chełmszczyźnie wróciły do katolicyzmu, ale już *do obrządku rzymsko-katolickiego, a nie grecko-katolickiego*, co stworzyło szachownicę wyznaniową po wsiach na tych terenach. Nie wiadomo więc o jakich Unitów „Ukr. Beskydowi" chodzi?

Prawosławni Ukraińcy i z tych terenów i z całego b. zaboru rosyjskiego starają się o zwrot świątyń, uważając ich za swoje, gdyż świątynie te dzieliły historyczne losy swoich parafjan — były spocządku prawosławnemi, potem unickiemi, potem znów prawosławnemi. Dziś wiele z tych świątyń jest zamkniętych. *Nic dotąd nie wiadomo, aby Cerkiew grecko-katolicka zgłaszała do nich swoje pretensje.* Wiemy np., że dawny sobór katedralny, pobazyljański w Chełmie oddany został, wraz z gmachami biskupiemi, drugiej parafji rzymsko-katolickiej w tem mieście.

Widzimy zatem, że *„Ukrainśkyj Beskyd"*, organ galicyjsko-regjonalny, wypowiada się stanowczo za rewindykacją cerkwi prawosławnych, podczas gdy cała opinja ukraińska b. zaboru rosyjskiego stanowczo jest temu przeciwna i ten właśnie faktyczny układ sił w terenie wskazuje, dlaczego odnośne władze nie śpieszyły dotąd z ostatecznem załatwieniem tej niewątpliwie bardzo drażliwej sprawy.

Bal Prasy Ukraińskiej

Dnia 9 lutego r. b. we Lwowie odbył się Bal Prasy Ukraińskiej, stanowiący dużą atrakcję we Lwowie. Bal ten zasługuje na większą uwagę przedewszystkiem dlatego, że jest to *pierwsza* o takim charakterze impreza w społeczeństwie ukraińskiem.

Bal zgromadził elitę ukraińską — bez różnicy stanowisk, zawodów, wieku oraz przekonań politycznych. Polityka obok nauki, prasa, spółdzielczość i bankowość obok innych mniej określonych dziedzin. Animozje polityczne stopiły się w beztroskiej pogawędce karnawałowej.



P. Prezesowa I. Lewyćka i red. R. Kupczynśkyj na czele „chorowodu".

Wytworne i różnobarwne stroje pań obok czarnej powagi fraków, dystynkcja, dwie świetne orkiestry ukraińskie w dwóch salach do tańca, wyśmienity bufet, odświętne humory — wszystko na wysokim poziomie imprez tego rodzaju.

Poważny „chorowod" z p. prezesową Lewyćką i p. red. Kupczyńskim na czele zaprezentował całą gamę osobistości i strojów.



Polityka i nauka: p. poseł O. Łućkyj i prof. W. Simowycz.

Atrakcją Balu było obranie „królowej karnawału". Według prasy ukraińskiej, jury miało z tem wiele kłopotu: należało na królowę wybrać koniecznie pannę i to nie nazbyt młodą (w głowie się przewróci!) i nie za starą (mogą posądzić o protekcję). Wybór padł na p. Oksanę Fedak, płomiennooką brunetkę, jak można sądzić z fotografji, zamieszczonej w „Żince".

Inną atrakcją były dwa numery „B. U. P. — organu Centralnego Komitetu Balu Prasy Ukraińskiej", wydane rze-

komo w trakcie balu, w naprędce zainstalowanej drukarence obok bufetu. Gazetka jest bardzo dowcipna i na wysokim poziomie, tylko szkoda, że robi ona wrażenie zawczasu przygotowanej, gdyż nie zawiera aktualji balowych, świadczących o wydaniu *ad hoc*, jak to się robi gdzie indziej.

Dźwięki tang, fokstrotów, walców a nawet lansjera (na ogólne żądanie) rozbrzmiewały aż do 7-ej rano. Rozbawieni goście dotychczas nie szczędzą wyrazów uznania dla inicjatorów (Two Literatów i Dziennikarzy) i organizatorów Balu.

Ze świata i z kraju

„TYGODNIK ILLUSTROWANY" O LWOWSKICH POETACH UKRAIŃSKICH.

„Tygodnik Illustrowany" w Nr. 2 z r. b. zamieścił artykuł p. t. „Lwowscy poeci ukraińscy", pióra p. Zdzisława Kunstmana oraz po jednym krótszym utworze S. Hordyńskiego, B. Krawciwa, A. Kurdydyka, A. Wołoszczaka, M. Rudnickiego, R. Kupczyńskiego, O. Babija i B. I. Antonycza w przekładzie Z. Kunstmana i A. Baumgardtena, znanych propagatorów poezji ukraińskiej w prasie polskiej oraz w radjo.

Wprawdzie obraz twórczości poetyckiej Ukraińców lwowskich, nakreślony w artykule, nie jest doskonały, co — słusznie zresztą — zauważyła prasa ukraińska, jednak wartość przekładów i sama intencja autorów zasługuje na szczere uznanie.

ODCZYT RED. W. BĄCZKOWSKIEGO WE LWOWIE.

Zaproszony przez redakcję *„Reduty"* — organ kombatentów lwowskich, — w dn. 20 lutego r. b. red. W. Bączkowski wygłosił odczyt dyskusyjny „O kwestji polsko-ukraińskiej", nakreślając podstawy właściwego rozwiązania tego zagadnienia.

Odczyt zgromadził liczne grono osób, reprezentujących elitę społeczeństwa polskiego we Lwowie.

Zebranie zagaił p. płk. Pytel, redaktor *„Reduty"*, prezes Związku Legjonistów we Lwowie, znany ze swej dużej inicjatywy społecznej i energji organizacyjnej.

Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusja, która zdradziła niejednolitość zapatrywań obecnych na zasadnicze momenty kwestji polsko-ukraińskiej, wykazując jednocześnie, że myśli p. red. Bączkowskiego, rozwijane na łamach „B. P. U.", znajdują coraz większe zrozumienie w polskiem społeczeństwie we Lwowie.

Sprawozdania z odczytu zamieściły lwowskie pisma polskie i niektóre ukraińskie.

O JĘZYKU LITURGJI PRAWOSŁAWNEJ.

W *„Gazecie Poleskiej"* (Nr. 7) znajdujemy pod powyższym tytułem artykuł *p. Ts.* Podając historję wprowadzenia języka cerkiewno - słowiańskiego w użytku cerkiewnym, autor twierdzi, że język ten najbardziej zbliżony jest do języka polskiego.

„Na tem tle staje się dla nas zrozumiałe zarządzenie metropolity Cerkwi Prawosławnej w Polsce — przetłumaczenia ksiąg liturgicznych na język polski — jako na język rodzimy większości wiernych Kościoła Prawosałwnego i jako na język pod względem głosowym najbliższy, najbardziej spokrewniony z językiem autorów tych ksiąg św. Cyryla i Metodego". (?!).

Uważamy, że autor w ostatniem twierdzeniu najoczywiściej rozminął się z prawdą. Stwierdzi to każdy znający Kresy Wschodnie bodaj powierzchownie, a cóż dopiero mówić o ludziach, którzy istotnie znają i historję języka liturgicznego w cerkwi prawosławnej i prawdziwą historję wyznawców prawosławia w Polsce i dawnej i dzisiejszej. Pocóż więc „naciągać" ogólnie znane fakty dla nieznanych bliżej i nie skontrolowanych celów?!

Sprawy cerkiewne i narodowościowe w Polsce stanowczo wymagają lepszych znawców niż p. Ts.

ZGON WYBITNEGO KSIĘDZA PRAWOSŁAWNEGO.

W Łucku zmarł proboszcz soboru prawosławnego ks. prot. - mitrat *Orest Milkow.* Był on jednym z nielicznych wśród wyższego prawosławnego duchowieństwa zwolenników ukrainizacji cerkwi i w ostatniem wołyńskiem zebraniu djecezjalnem brał czynny udział.

Ks. O. Milkow pochodził z Chełmszczyzny, seminarjum duchowne ukończył w Chełmie. Po wojnie światowej przez dłuższy czas był kapelanem Wojsk Polskich. Po przejściu na emeryturę osiadł w Chełmie w swej posiadłości, skąd został powołany do Łucka na stanowisko proboszcza soboru łuckiego przez swego ziomka arcybiskupa wołyńskiego Aleksego.

Ś. p. ks. O. Milkow odznaczał się niepospolitą energją, i cieszył się opinją jednego z bardziej wykształconych księży prawosławnych w Polsce .

ZWIĄZEK UKRAIŃSKICH URZĘDNIKÓW PRYWATNYCH.

Dn. 17.II b. m. odbyło się doroczne zgromadzenie członków tego stowarzyszenia, zwanego w skrócie *„Supruha"*. W końcu 1934 r. organizacja ta liczyła 728 członków i 5 filij — w Przemyślu, Stryju, Stanisławowie, Jaworowie i Kałuszu. Wpływów T-wo w r. ub. osiągnęło 11.924,49 zł. Fundusz pośmiertny T-wa wynosi 3.740,86 zł., zapomogowy — 1.803,03 zł., bezrobocia 13.090,74 zł.; letniskowy — 1.803,03 zł.

Obrano nowy Zarząd z *Lwem Jasinczukiem* na czele.

WIADOMOŚCI UKRAIŃSKO-BUŁGARSKIE.

Pod takim tytułem w najbliższym czasie w stolicy Bułgarji ukaże się organ T-wa Ukraińsko - Bułgarskiego. Będzie to pismo informacyjne w dwuch językach — ukraińskim i bułgarskim (*„Nowa Zorja"* Nr. 13).

TREŚĆ: **Stanisław Łoś:** Uwagi programowe. — „Diłu" w odpowiedzi. — **H. O. Boczkowski:** Świat zdąża do nacjonalizacji (dok). — Varia. — Kronika. —

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju: Rocznie zł. 12, półrocznie zł. 6, kwartalnie zł. 3, miesięcznie zł. 1 gr. 20, **zagranicą:** rocznie zł. 24, półrocznie zł. 12, kwartalnie zł. 6, miesięcznie zł. 2 gr. 50. Cena numeru pojedyńczego 50 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Leszczyńska 9 m. 71. Telefon 234-60. Konto czekowe P.K.O. 26.842.

Redaktor: WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI.

Wydawca: Z ramienia Stow. Polsko-Ukraińskiego — KONSTANTY SYMONOLEWICZ, jnr.

NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM. Zakł. Graf. „Drukprasa", N.-Świat 54, tel.: 615-56 i 242-40.